



== Pismo Ilustrowane dla Kobiet ==

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie

Kwartalnie rs. 1.

Za odosłanie do domu kwartalnie kop. 10.

Z przesyłką pocztową

Kwartalnie rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna № 26.

TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:

We Lwowie i Krakowie

Kwartalnie zlr. 2 Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.

W Poznaniu

Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.

Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Samaston.

W I A R A...

FRAGMENT Z ŻYCIA.

Tyś mego życia urocza wiosną,
Jutrznią świetlaną, pogody gońcem,
Jesteś mi nieba mojego słońcem,
Marzeń mych tęczą, pieśnią miłosną...

Ben.

Nieustające deszcze i zimna panujące w galicyjskich i węgierskich uzdrowiskach, ulewy i powodzie w Szwajcaryi, pędziły mnie coraz dalej na Południe; nareszcie w Abbazyi zobaczyłem słońce, jasne, złociste, życiodajne słońce, do którego przez dwa miesiące tęskniłem. Cudna natura, imponujące skały, góry umajone pięknymi roślinami, cicha, spokojna lazuruowo-szmaragdowa roztoz Adryatyku, przedstawiały się tak wspaniale, że błogosławiłem galicyjsko-węgierskie ulewy i helweckie powodzie, które zagnały mnie w ten uroczy zakątek.

Staralem się wyzyskać każdą godzinę pobytu, zwłaszcza, że wiele czasu przed sobą nie miałem. Spacery uroczym brzegiem zatoki do pobliskich wiosek portowych: Laviany, Iki lub Valosci, wycieczki przez góry do miasteczka Castui, lub wreszcie przejażdżki łódką po morzu, wypełniały całkowicie dni; nieraz dopiero późnym wieczorem wracałem do domu głodny, ale nasycony wrażeniami i upojony cudnymi widokami.

W pierwszych dniach pobytu wycieczki odbywałem sam; trzeciego dnia, idąc do Iki, usiadłem nad brzegiem morza, wpatrując się w szeroką, czarną, lśniąca jak smoła, lekko drgającą wstęgę wody, która wyróżniała się na modrej

powierzchni morza; to silne oświetlenie i odbicie promieni słońca wytworzyło ten kontrast. Siedziałem dość długo, a zapatrzony w przestworze nie zauważyłem, że przy ławce stanął jakiś jegomość.

Zwróciłem głowę i zobaczyłem mężczyznę trzymającego ryżowy kapelusz w ręku i ocierającego pot z czoła. Włosy na głowie miał zupełnie siwe, a duże wąsy i przystrzyżona broda były mocno szpakowate; wysoki, o ostrych rysach twarzy, zwrócił ku mnie oczy, wzrok nasz spotkał się; pomimo, że nieznajomy miał przeszło sześćdziesiąt lat, wielka energia i stanowczość malowała się w jego oczach i twarzy. Skłonił głowę i mówiąc:

— Io domando scusa — usiadł na ławce.

Z wymowy odrazu poznałem, że Francuz, i odpowiedziałem w jego rodowitym języku:

— Bardzo proszę.

Ojczysta mowa wywołała lekki uśmiech na jego usta.

— Nas — mówił łagodnym głosem, — zawsze wymowa zdradzi; ledwie wyraz wymówimy, Włoch pozna Francuza.

— Nie jestem Włochem — odrzekłem i zaczęliśmy gawędę.

Ponieważ stary szedł w stronę Iki, poszliśmy razem. Mimo znacznej różnicy lat harmonizowaliśmy ze sobą, obaj jako miłośnicy natury; o niej więc wyłącznie rozmawialiśmy, zwracając jeden drugiemu uwagę na ten lub ów szczegół, willę lub domek wyzierający gdzieś wysoko z zieleni, nieforemną skałę wrzynającą się w morze, i tak gawędząc znaleźliśmy się w miniaturowym porcie Iki, gdzie nad brzegiem w austeryi podano nam karafkę miejscowego wina.

Towarzysz mój był bardzo poważny, spokojny, ruchy miał nerwowe, twarz jakąś zmęczoną, ale patrząc w nią pomyślałem:

— Musiał być kiedyś bardzo przystojny.

Popijając istryjskiego ciekusza, gawędziliśmy o wroście Abbazyi, która dopiero trzynasty rok jako miejsce kuracyjne zaczynała. Zapropono-

wałem powrót łodzią, towarzyszył chwilę pomyślał, spojrzał na mnie jakoś dziwnie, ale się zgodził. Zeszliśmy z ogródka austeryi na pomost i wsiadli do białej łodzi z czerwonymi materacykami. Miałem zamiar wiosłować drugą parą wiosła, które przewoźnicy zawsze mają w łodziach, ale mój towarzysz uprzedził mnie, ujął wprawna ręką wiosła i popędzając łodźiarza:

— Forte piu prèsto! — wiosłował silnie, równo i z wielką gracyą.

Łódź pchana siłą czterech wiosła, szparko mknęła po równej powierzchni zatoki. Patrząc z jaką wprawą i siłą mój towarzysz wiosłował, zapytałem:

— Zapewne pan często używa sportu wiosłarskiego?

— O, nie — odrzekł, — ale urodziłem się nad morzem.

W niespełną godzinę wysiedliśmy na kamienne schody parku w Abbazyi. Podziękowałem za towarzystwo i żegnając podałem mój bilet wizytowy; stary również dając swoją kartę, ścisnął dłoń, mówiąc:

— Jestem bardzo szczęśliwy ze znajomości, może pan zechce częściej ze mną razem chodzić.

Rozeszliśmy się, obejrzałem otrzymany bilet i przeczytałem na nim: Louis Michel Duprat de Bréhat.

Nazajutrz spotkałem go w towarzystwie młodej, bardzo eleganckiej damy i starego sługi idącego za niemi.

Przy powitaniu zatrzymał się i przytrzymując moją rękę, przedstawił córce Janinie.

— Bardzo jestem panu wdzięczną — mówiła, — za towarzystwo dla ojca, tem więcej, że on jest bardzo nietowarzyski, a pan tak miły na nim zrobiłeś wrażenie; właśnie przed chwilą żałował, że nie spytał pana o adres, chciał go zobaczyć.

— Tu wszak nie trudno spotkać się — odrzekłem, — jestem bardzo szczęśliwy, że na

ojcu sprawił przyjemne wrażenie, pragnąłbym również, aby i na córce także sprawić.

— Nie wątpię o tem — odpowiedziała, zwracając ku mnie duże piwne oczy, okolone długimi wygiętymi rzęsami.

Janina wyglądała na lat trzydzieści, szatynka, o delikatnej cerze, ubrana nadzwyczaj starannie, ale czarno, była bardzo dystygowana, a twarz jej wyrażała dobroć i łagodność. Idący o dwa kroki stary służący w liberyi niósł okrycia.

Poszliśmy razem przez park, minęli port i weszli na „Strandweg,” wiodący do Volosci; ponieważ droga jest dość wązka, przeto nie mogliśmy iść we troje obok, i wkrótce usiedliśmy na ławce, a gawęda zabrała nam przeszło godzinę. Dowiedziałem się, że Janina jest panną, że ojciec był wojskowym, że mają dużą posiadłość w północnej Francji; jedno jednak zostało nie wytłómaczonem: dlaczego przyjechali do Abbazy, mając w swoim kraju różne morza i przepyszny klimat.

Stary mówił nie wiele, bezustannie wpatrywał się w morze.

Nazajutrz od rana była burza. Po południu, gdy trochę obeschło, poszedłem z wizytą do de Bréhat'ów, mieszkali w bardzo pysznej willi, zajmując całe pierwsze piętro. Wchodząc na schody, spotkałem pana Krzymuskiego, znajomego z Krakowa, którego widziałem kilkakrotnie.

— Dzień dobry — witał, — a dokąd to pan zdąża?

— Do pana de Bréhat — odrzekłem.

— To pan zna tego waryata?

— Waryata?

— To pan nie wie? ten stary Francuz, co tu mieszka z córką, to waryat; trzeba było słyszeć co dziś wyprawiał, jaki tam był krzyk i wyście!

Bardzo zdziwiony poszedłem na górę, otworzył mi drzwi stary sługa. Widziałem jego zakłopotaną minę.

— Pan chory — mówił.

Sięgnąłem do kieszeni po bilet, gdy za stojącym lokajem ukazała się Janina.

— Proszę, niech pan wejdzie — mówiła, wyciągając na przywitanie rękę.

Wszedłem do salonu i usiedliśmy.

— Ojciec bardzo chory? — pytałem.

— O nie poważnego — odrzekła smutno, — teraz już daleko lepiej, zasnął.

Pragnąłem zbadać kwestyę i dlatego mówiłem:

— Wchodząc tu do domu spotkałem mego znajomego, mieszkającego tu, na dole, mówił mi że...

— Co mówił? — oniemal, że krzyknęła przezywając.

— Że, że ojciec miał jakiś silny atak nerwowy...

Janina trwożliwie spojrzała na mnie.

— Ojciec — mówiła cicho, — przez dwadzieścia cztery lata był chory, ale od dwóch lat jest zupełnie zdrow, tylko czasem, podczas burzy miewa jakieś niepokoje; ale i te od dawna się nie powtarzały. Dziś w nocy byłam mocno zatrwożoną, ale, dzięki Bogu, prędko przeszło i ojciec śpi spokojnie.

Od tego dnia coraz więcej zbliżałem się z ojcem i córką, z nim częste robiliśmy spacer, rado wychodziliśmy i wracali koło pierwszej, kiedy

Janina przychodziła z morskiej kąpieli. Po obiedzie robiliśmy wycieczki we troje, łodzią lub powozem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



4 Listopada 1896 roku.

W pierwszej połowie Października, nowości zimowe wystąpiły na widownię w wielkich magazynach tutejszych, mamy dziś przed oczyma tyście nowych tkanin, pełne różnorodności. Zaczniemy sprawozdanie nasze od panujących kolorów. Z ciemnych najpowszechniej używane: tabaczkowy (*hawanna*), zielony w rozmaitych odmianach, morderowy, rodzenkowy (*raisin de Corynthe*), fioletkowy w odcieniu granatowym; z jaśniejszych: miedziany, (*chaudron*), popielaty, (*gris argent*), heliotropowy i skórki duńskiej. W jedwabnych materyach do wielkiego ubrania, obok bladego różowego i bladego niebieskiego, przeważają kolory: brzoskwinowy, morelowy, zielonkawy (*vert du Nil*), słomkowy i kości słoniowej (*ivoire*).

Ta sama różnorodność uderza nas i w kroju sukien. Spódnice jedne płaskie z przodu, fałdowane tylko od boków, inne znów dokoła nafałdowane. U jednych rękaw jeszcze roznieśisty, u innych, i to w większości, wązkie, przybrany u ramienia wolantem, buffą lub wielką kokardą. Staniki jedne zachodzą wysoko pod szyję, inne otwarte z przodu z szeroko wyłożoną klapą. Miejsce szmizetek zastępuje kaftaniczek *Bolero*, nie sięgający stanu. W paskach równe odmiany, od jednych długie szarfy przewiązane z boku, spadają aż do ziemi, inne z odwróconym na przodzie bawetem, wiążą się w tyle na kokardę, inne znów na parę cali wązkie, obciskają stanik, spięte na przodzie metalową klamerką.

Przypatrzymy się teraz nowym tkaninom, przyjętym na suknie i kostiumy. Zaczynamy przegląd od jedwabnych materyj. Do najmodniejszych należy dziś mora, zupełnie odmienna od dawnej, mieniona w dwóch odcieniach jednego koloru, wyciśnięty na materyi deseń, tworzy to gałązki, to płomyki, to znów paski albo fantastyczne gzygaki. Niekiedy na tej morze przechodzą atlasowe pasy, lub atlasowy, strzępiasty deseń w jaśniejszym odcieniu. Oto kilka odmian, które szczególnie wpadły nam w oko.

Mora szafirowa, fioletkowa, pasy na niej czarne atlasowe w odstępach, szersze i węższe na przemian; piaskowa w pasy śmietankowe; heliotropowa w pasy blade lilla, na innej znów rzucane bukiety *chine* w rozmaitych kolorach.

Do zwyczajnego ubrania, ukazała się nowa zupełnie mora dość lekka, złożona z jedwabiu i bawełny. Na tle zielonem, morderowem, szafirowem i t. p., przechodzi drobniachna kratka czar-

na, wycięta na tem mora, tworzy delikatne gałązki, które przez sam wycisk przybierają jasną, połyskującą barwę. Inna znów zamiast krutek, zasiana cała w białe lub jasne punkciki.

Pierwszą nowość tegoroczną, stanowią materye mienione w dwóch albo trzech kolorach. Na ciemnem tle wije się niby wstążka na cal szeroka, wystrzępiona po brzegach; na tle na przykład czarnem, faluje w różnych zakrętach, wstążka jasno zielona (*vert lumiere*) rubinowa, lub złotawa, ślicznie to wygląda przy świetle. Niekiedy wstążka ta czarna na tle czarnem obwiedziona tylko w strzępiaste ząbki rubinowe, zielone i t. d.

Na suknie do wielkiego ubrania, tło tej materyi zazwyczaj jasne: morelowe, blade różowe, srebrno-popielate, w wijący się deseń śmietankowy.

Przejdźmy teraz do wełnianych wyrobów. Niektóre z nich mieszane z jedwabiem służyć mogą na strojne suknie. Widzimy je na przykład w wielki ciągniony deseń. Tło zwykle czarne w rodzaju rypsu; na to idą gałązki przerabiane jedwabiem, jakby aplikacja z gładkiej materyi w kolorach: miedzianym, srebrno-popielatym lub wszystkich odcieniach zielonych. Niekiedy w czarne tło wsnuta nitka metalowa tworzy błyszczące punkciki, ztąd wyrób ten zowie się iskierką (*étincelle*).

W mniej strojnych tkaninach wełnianych wielka panuje różnorodność, zastosowana do gustu i potrzeby. Jedne z nich zwane *notté*, ostre, sztywne, podobne do plecionki z jakiej wyrabiają koszyczki, inne znów miękkie włochate, z wełny angora, przerabiane w różnokolorową kratę, która znika pod długo wypuszczonym włosom, inne z grubej mienionej kanwy, przerabianej w białe jedwabne centki albo kreski. Wyliczyć niepodobna tych wszystkich fantastycznych pomysłów, dodajmy tylko, że i wyroby gładkie: sukienko, wigon, szewiot i kaszmir wielkiej używają wziętości.

Z opisanych powyżej tkanin, widzieliśmy już piękne suknie, wykonane w zakładzie krawieckim pani Elizy Petit, dajemy tu szczegółowy ich opis.

Suknia wigoniowa na tle ciemno-zielonem w wijący się wielki jedwabny deseń w jasnym odcieniu. Spódnica bez garnirunku, fałdowana dokoła. Stanik gładki, nieco otwarty, przody zaokrąglone u dołu. Z pod otworu wygląda plaster różowy (*vieux rose*), ujęty w pasek aksamitny z bawetem koloru *bordeaux*. Takież aksamitny wyłożony kołnierzyk; pod nim fryzka z walencienki. Rękawy wązkie, od ramienia spada buffa lekko nafałdowana.

Druga suknia z gładkiego szewiotu, w kolorze skóry duńskiej, nie odcinana w stanie. W górze idzie karczek, zakończony z przodu i na plecach, ruszką z materyi jedwabnej tegoż koloru. Ztąd spadają dokoła bryty nafałdowane, tworzące razem stanik i spódnice; obciska je pasek jedwabny, szeroki w tyle, zwężony z przodu, spięty na klamrę złożoną z dwóch metalowych guzów. Rękawy wązkie; od ramienia do łokcia dany nafałdowany wolant, pokrywa go w górze epolet objęty ruszką jedwabną.

Trzecia suknia z mory półjedwabnej w kolorze heliotropowym, w drobną kruteczkę czarną. Na gładkim staniku, krótkie *Bolero* z aksamitu w kolorze mehowym (*mousse*), otwarte z przodu, ze złotym hafciakiem do koła. Kołnier u niego szeroko wyłożony. Rozchodzące się przody, złączone na piersiach kokardą heliotropową. Rę-

kaw wążki, od ramienia spadają dwa wolanty z koronki szarej. Taką namarszczoną koronką, zakończoną w ząb u dołu, wybiega z pod otwartego bolera i sięga poniżej stanu.

Czwarta suknia czarna morowa, w szeroko wyściśnięte gąlezie. Spódnica gładka roznieszona od boków. Stanik płaski, obciśnięty szeroką szarfą aksamitną, spiętą z boku na złotą klamrę i kokardą z długo spadającymi końcami. Cały stanik pokrywa wielki kołnierz rozszerzony na ramionach i plecach, z przodu wąsko, sięgający do pasa. Rękawy niezbyt bufiaste aksamitne, ścięte od łokcia, zakończone mankietem koronkowym.

Piąta suknia z wigoniem szarego w czarną jedwabną kratę. Tak spódnica jak stanik i rękawy, krajane ukośno. Stanik pod szyję, środkiem wzdłuż namarszczony, od dołu podniesiony w górę. Z pod tego widać pas aksamitny czarny z odwróconym bawetem. Na przemarszczeniu stanika wpięte dwie złote brosze. Kołnierz czarny aksamitny z odwiniętymi rożkami. Rękawy płaskie, na ramionach upięte niewielkie buffy.

Wystawa okrywek futrzanych zapowiedziana w magazynach na połowę Listopada; skoro tylko otwartą będzie, pośpieszymy ze sprawozdaniem, nie czekając na Grudzień. Dotąd ukazują się tylko małe rotundy i palatynki, złożone z dwoistego futra: czarne astrachanowe okładane białym futrem kozy indyjskiej, i wydrowe objęte szeszylą.

Paletociki szerokie, bez wcięcia coraz się częściej ukazują. Strojniejsze aksamitne obłożone zwykle tumakami lub bobrem, inne znów z szewiotu obszyte pasem wydry lub astrachanu.

Manszoniki średniej wielkości, astrachanowe okładają białą angorą.

Seweryna Duchńska

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Minęli stragany zastawione wędlinami, które prażone na słońcu wydzielają z siebie woń nie miłą, tłustą, poczem posunęli się w stronę cerkwi, na której błyszczał i mienił się złoty krzyż wielki, wreszcie okrążywszy świątynię, stanęli w tłumie widzów.

Jakiś ogromny cygan, lypiący groźnie błyszczącymi oczyma, grał na flecie jedną z tych dzikich, wschodnich melodyj, które na nieprzywykłe ucho, bardzo przykre wywierają wrażenie. Tuż obok niego stała młoda, zgrabna cyganka ubrana w czerwoną spódnice i czerwony stanik, cały osztyt kółeczkami złotymi, które za każdym jej ruchem wydawały szelest charakterystyczny. Cyganka uderzała w bębenek, i śpiewając coś po mołdawsku tańczyła razem z dwoma chłopcami, klaszczącymi do taktu w dłonie. Dziwnym był

ten taniec, niby bezładny a tak jednakże pełen harmonii. Dziewczynie tylko nogi skakały, drżały, a wiotka jej figura zgrabna zataczała się to w jedną, to w drugą stronę, raz szybko, drugi raz wolniej.

W tej muzyce i w tym tańcu było tyle zapachu, że ten mimowoli udzielał się otaczającym.

Gwar ustał, zapanowała cisza, słychać już było tylko coraz to żywszą i gorętszą muzykę, odgłos rytmiczny kastanietów i szelest nieustanny poruszanych w tańcu kółeczek mosiężnych, zdołających stanik i spódnice tancerki.

Twarz śniada cyganki pałała, oczy błyszczały, paliły się, bębenek drżał w ręku lewem, a ona tańczyła coraz to namiętniej, coraz to prędej, tak jakby pragnęła w tym wirowym, szybkim ruchu zapomnieć o wszystkim. Nie zważała też na nic, na nikogo; w każdym poruszeniu jej grała najwyższa swoboda. Nagle rozległ się przeźrliwy gwizd fletu, cygance kastaniet z ręki wypadł, szybko go jednak podniosła i pomimo zmęczenia, które jej oddech tamowało, chodziła naokoło, i zbierała rzucane datki.

— Jaka ona ładna! — zawołał elegancki pan Antoni, — ile w niej życia, ile poezji...

I uśmiechnął się do brata, który rzuciwszy cygance kilka monet nie mówił nic, jakby ujęty czarem tańca cygańskiego. Wreszcie rzekł:

— Istotnie, śliczna dziewczyna! Już kiedy cyganka piękna, to piękna jak marzenie. Ale też tańczy, tańczy... gdyby anioł. Niech się schowają wszystkie wasze baletnice wiedeńskie.

— Tym razem przyznaję ci rację, tańczy, no, nie zwykle, a tak jakoś poetycznie, tak namiętnie, jakgdyby chciała tymi ruchami myśl jaką wyrazić.

— Dobrze żeśmy tu przyszli zobaczyć to dziwo.

— A bardzo dobrze. Jabym jeszcze raz temu się przypatrzył, gdyby można.

— Dlaczegożby nie można.

— Jak?

— Zwyczajnie! zawołamy cyganów do Mułki, każemy uprzątnąć najczystszy pokój i będziemy mieć przedstawienie.

— Znakomicie, a to mi zrobisz przyjemność prawdziwą, mój Jasiu.

W tem o uszy ich obito się sykanie głośnie z tyłu, odwrócili się i zobaczyli czterech mężczyzn spieszących naprzeciwko nim.

Na przodzie postępował otyły Aleksander Stepanowicz Russo, jowialny mołdawan, rej wodzący na wszystkich jarmarkach i zjazdach w powiecie. Za nim szedł Domaszkan stary z synem i pan Ludwik Demianowicz, gospodarujący na dużej dzierżawie — młody, przystojny człowiek.

Russo z daleka już wołał po rusku, gdyż czy to po rumuńsku nie mógł się z sąsiadami rozmówić, a po polsku nie umiał:

— Dokąd tak pędzicie, bracia syamscy? Zaczekajcie na nas.

Domawiając tych słów, już był przy nich, ściskając serdecznie za rękę jednego i drugiego brata.

— Jak się miewacie, Iwanie Samuelowiczu?

— Dzięki Bogu, jak widzicie nie źle.

— A to dobrze. Dawnożemy się nie widzieli; przywieźliście brata do Otak?

— Tak, niech pozna lepiej naszą Bessarabię.

— Naturalnie — potwierdził, śmiejąc się do brotliwie Rumun, — ale wam się panie Antoni, może tu nudzić po Wiedniu. Ba, ba, co za po-

równanie, pamiętam ja dobrze to ogromne miasto nad sinym Dunajem, nigdy go nie zapomnę.

I mówił dalej do Antoniewicza, unosząc się nad cudownym położeniem Wiednia, nad jego ringami i bulwami. Inni słuchali śmiejąc się z wybuchów swego wodzireja. Tylko stary Domaszkan, wzięwszy na bok pana Jana, coś mu szeptał na ucho. Widocznie cicha ta rozmowa dotyczyła koni, bo obaj stary i młody mieli pasy do nich; znać to było po ożywionym wyrazie twarzy pana Jana, zapominającego o istnieniu świata, na samą wzmiankę o jakimś nadzwyczajnym końskim okazie.

Domaszkan był teściem Antoniewicza, a ponieważ go w dodatku lubił, więc starał się całe swoje koneserstwo przelać na zięcia. Oprócz tego chcąc młodemu człowiekowi po śmierci swej zostawić stajnię wspaniałą, słynną w okolicy całej, powoli przyzwyczajał go do przyszłego dziedzictwa, wspólnie z nim zakupując różne radsze egzemplarze.

— Cóż tak stoimy? — zawołał stary Domaszkan. — Chodźmy na targ koński, przynajmniej będzie co oglądać, dosyć tego gapienia się na chłopską gawiedź, kuglarzy i tanecznicę.

W odpowiedzi na to, Russo poklepał go po ramieniu mówiąc:

— Samuelu Kajetanowiczu, powiedzcie: czy nam się naprawdę spieszy do koni? Mnie one wcale nie obchodzą, wolę się po majdanie włóczyć i wypatrywać piękne cyganki.

— I ja także — wtrącił młody Domaszkan, — już tam tatko za mnie wszystkim koniom w zęby zajrzy, a co lepszego, to do Rewania przywiezie.

— Ja te wszystkie konie znam, widzę je co wtorek — gardłował chudy Demianowicz, — lepiej się tym tańcom przypatrywać, niżli wachać nawóz koński i żydowskie wyziewy.

— Wszyscyście wy tacy mądrzy, jak mołdawańskie czapki! — wołał śmiejąc się stary. — Idźcie, oglądajcie cuda razem z chłopami, a ja tymczasem pójdę do koni z Jasiem.

— Szcześliwej podróży i przyjemnych wrażeń — wołał Russo, żegnając ręką przeciskających się między straganami zięcia i teścia, i ruszył w przeciwną stronę z resztą młodego towarzystwa.

Młody Domaszkan szedł przodem, rozmawiając wesoło z Demianowiczem, za nimi, w odległości kilku kroków postępował pan Antoni z Russem.

Rozmowa starego mołdavianina z młodym elegantem była snąc wesoła, bo co chwila towarzyszył jej śmiech głośnie. Russo miał talent gawędziarski, więc Antoniewicz z przyjemnością słuchał jego anegdot przygodnych; bawiły go one, odznaczały się bowiem prawdziwym dowcipem mołdawskim, tak różnym od wiedeńskich praterowych witzów, które go już znudziły porządnie.

— A gdzie Domaszkan z Demianowiczem? — zawołał nagle Russo.

— Nie widać ich.

— Musieli zniknąć w tłumie, i jeden i drugi mają swoje interesa i swoje fantazyje, znam ja ich znam.

— I dokądże pójdziemy? — spytał po chwili Antoniewicz, patrząc na zegarek. — Druga dochodzi.

— Dla mnie wszystko jedno, interesa już załatwiłem, a wracać dzisiaj do domu nie myślę.

Wieczorem urządzimy sobie winta, zabawę jakąś w tym guście.

— A mnie się jeść chce, pora obiadowa nadchodzi.

— Więc jedźmy na obiad?

— Dokąd?

— Chyba do Mohilowa, tam teraz jest lepsza kuchnia u tego Mileckiego, a przynajmniej na czas jarmarku rabuś trzyma lepszego kucharza.

— Dobrze. Jazda do Mohilowa! Tylko uprzedzam pana, ja tam nie zostanę długo, bo dzisiaj wieczorem muszę być w domu. Zjemy obiad i przeprawimy się napowrót do Otak. Jaś pewnie zamówi pokój na te cygańskie tańce.

— Wybornie, jestem pewny, że zamówi, jeżeli już nie dla siebie, to przynajmniej dla brata żądnego wrażeń stepowych.

I śmiały się wesoło, dobroduszenie, bez cienia nawet tej złośliwości, która właściwą jest rasie wołoskiej.

Stanęli nad rzeką. Dniestr wartko unosił wody swoje ku morzu, cały zalany błyskami słonecznego światła; toczył się równo i spokojnie, bo wiatru nie było. Patrząc zdaleka zdawało się, że to nie woda, lecz jedna całkowita ruchoma wstęga lustrzana. Z jednej strony Mohilów, rozsiadły na wapiennym wzgórku, cały w zieleń drzew spowity, a z drugiej Otaki mołdawskie na pustym stepie rzucone, odbijały się i przeglądały w Dniestrze.

Na rzece panował ruch niezwykły. Promy, łódki, czółna, czółenka płynęły nieprzerwanym sznurem jedne ku Otakom, drugie ku Mohilowowi. Ze wszystkich stron słychać było nawoływania, krzyki, hałasy; zdawało się, że spokojną, marszczącą się złotawo rzekę rój waryatów osaczył i męczył—gniótl. Ludzi wszędzie było pełno: jedni schodzili z promów i łódek, inni wchodziłi na nie bez przerwy.

— Jaki tu ruch ogromny!

— Tak zawsze bywa na każdym jarmarku; jedni jadą do Mohilowa, inni z Mohilowa, każdy zajęty sobą lub swoimi.

— A co to za budynki jakieś, tam nad rzeką? — zawołał naraz Antoniewicz, pokazując ręką na wznoszący się nad samym brzegiem wysoki czworobok drewniany.

— To magazyny, panie, magazyny zbożowe.

— Tego dawniej nie widziałem.

— Bo też one nie dawno postawione przez Ohanę, o którym pan pewnie musiał już słyszeć.

— Ach, to są składy zbożone tej nowo założonej spółki bessarabskiej?

— Ormiańskiej, kochany panie, bo Ohana wszystko, cały interes zatrzymał w ormiańskich rękach. Tęgi z niego człowiek, powiadam panu, głowę ma do interesów, jak dziesięciu Greków i Żydów razem.

— Więc to on wystawił?

— On, chociaż niby urzędowo cała spółka znajduje się pod zarządem Szymonowicza, zięcia pana Kajetana.

— I jakże to idzie? — spytał pan Antoni.

— Podobno świetnie. Skupują całymi tysiącami pudów pszenicę i dostawiają na odesski rynek. Nie wiem, ile to prawdy, ale zyski mają być ogromne. Słusznie mówią, że Ormianie potrafią z niczego zrobić coś; ale ten Ohana przeszedł wszystkich. Zna pan jego dziwną historię?

— Słyszałem coś o tem, opowiadano mi. Jego samego widziałem kilka razy, rzeczywiście on może imponować.

— I imponuje niewątpliwie. Niech pan powie, nasz brat z krociami na dziady wychodzi, tak jak ten Sabescu, od którego Ohana Nikoreszty kupił, a Ormianin zdoła z powietrza ściągnąć tysiące, miliony. O tym Ohanie wszyscy tu teraz rozprawiają, jak o jakim cudzie, jak o kimś niezwykłym; to człowiek obecnie najpopularniejszy w całym powiecie.

— A oto i oni — dodał Russo, pokazując ręką na idących ku rzece Ohanę i Szymonowiczów. — Oho! i pani Szymonowiczowa również przyjechała na jarmark. Ohana się koło niej kręci, nie dziwnego młoda, przystojna, a co najważniejsza, to tam do nich obojga przyczepiona jest jakaś romantyczna historia z lat dawnych. Kto wie, może wspomnienia drażnią zmysły, przyspieszają krwi obieg i denerwują. To wszystko, panie—możliwe bywały wypadki.

Antoniewicz zdawał się tego nie słyszeć; przysłuchiwał się różnobarwnemu tłumowi chłopów, wchodzących na prom szeroki. Jedni drugich popychali, posuwali, kułakowali, każdy chciał być pierwszy, nikt nie ustępował. Przewoźnicy, wsparci na długich wiosłach pilnowali porządku i liczby, lecz nie słuchano ich; wydawało się, że ludzie ci nic nie rozumieją, głusi są, choć wrzeszczą.

— No, jedźmy panie do Mohilowa, póki lódź jaka jest wolna, bo możemy czekać znowu z kwadrans, zanim druga zawinie do brzegu.

— Zaczekajmy — zawołał Russo, — zaczekajmy na tę trójkę, przywitamy się z Szymonowiczami, przyjrzymy się Ohanie, temu dziwu modnemu na stepach naszych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Władysław Sterling

SONET.

WIERZĘ.

Wierzę wiarą serdeczną niezmiennie i święcie,
Że jest odwieczna wola, światów wszechmistrzyni,
I wierzę, że ta wola od wieków ład czyni,
Ukształtowała wszechświat w atomów odmgie.

I wierzę, że na jedno anioła zaklęcie,
Ozwie się głos potężny, jak chorał w świątyni,
Który zdradę o zdradę, fałsz o fałsz obwini,
I że wtenczas dusz czystych będzie wniebowzięcie.

I wierzę, że tu miłość na ziemi istnieje,
Która człowiecze serca od zwiędnięcia strzeże,
I wierzę w promieniste, motyle nadzieje,

Co na losu pogromy są, jako puklerze,
I w lzy, co nad dzieciny czołkiem matka leje...
Lecz tylko w jedno szczęście człowieka—nie wierzę.

Kalejdoskop Muzyczny.

II.

Libretta i libreciści.

(Dokończenie.)

O ile najslawniejszy współczesny krytyk niemiecki podnosi działalność Scribego, jako librecisty, o tyle Francuzi sami potępiają go surowo, dowodząc, iż współpracownictwo jego szkodziło wielu kompozytorom, nadewszystko zaś Aubero-wi, którego lekka, pełna wdzięku, prostoty i szlachetności muza nie odpowiada bynajmniej talentowi dramaturga. Ludwik Veuillot, mianując go banalnym, pospolitym mieszcuchem, pozbawionym nie tylko świeżości pomysłów ale i świeżości uczuć, pisze o nim:

„W Paryżu, w Londynie, Wiedniu, Medyolanie, Irkucku, w stolicach i małych miasteczkach, wszędzie, gdzie tylko słyszeć się daje jakikolwiek język europejski, i gdzie z desek na kozłach urządzają ludzie prowizoryczną scenę, wszędzie grają Scribego. Aktorzy mogą nie mieć talentu, publika — wykształcenia, teatr — kostymów i dekoracji; sztuka polyka się prędko, jak ostryga; pomimo pospolitości bowiem, słuchacz ma przed sobą żywy watek sceniczny.

„Największy talent i umiejętność Scribego polega na narzuceniu słuchaczom ryzykownych sytuacji. Zdołał on tak dalece opanować wstydlivość parterowej publiki, że obecnie nie ma dla niej scen zbyt śmiałych i hazardownych.”

Słowa powyższe stosują się głównie do dramatów i komedyj, zaznaczają wszakże tak wyraźnie niechęć rodaków do utalentowanego autora, że trudno je pominąć. Cokolwiek powiemy o zgasyłym ćwierć wieku temu dramaturgu, znaczenie i doniosłość wpływu jego w dziedzinie opery nie ulega zaprzeczeniu. Dziś romantyczne, szeregami nieprawdopodobieństw napiętnowane, często logiki i prawdy psychologicznej pozbawione jego teksty przeżyły się niewątpliwie, i trwają tylko w melodyach, do których przywykło ucho, nie bacząc na podkład słów i akcyi. W każdym razie jednak podziwiać należy zaznaczoną przez Hanslicka giętkość umysłu poety, niesłychaną łatwość wydobywania efektów scenicznych, i ten nerw dramatyczny, bez którego opera upada obecnie.

W ostatnich czasach, stałego librecisty nie ma w Europie; teksty do oper powstają przygodnie, a że zarzucony nimi każdy muzyk, o tem wiemy choćby z interviewów i listów Mascagni'ego, który nie jest w stanie przejrzeć nawet jednej trzeciej nadsyłanych mu wciąż prac scenicznych.

Zwyczaj pisania kilku naraz oper pod jedno i to samo libretto mija stopniowo w miarę, jak coraz większą wagę muzycy zaczynają przywiązywać do tekstów. Wagner, a z nim i wszyscy nowsi kompozytorowie uważają muzykę jedynie jako wierną tłumaczkę akcyi scenicznej, otoczenia i stanów psychicznych bohaterów.

Wagner pisze w tej kwestyi: „Muzyka jest kobietą, to jest miłością. Jedynym jej zadaniem kochać i bez zastrzeżeń poddawać się temu, kogo wybrało jej serce. Jak nimfa, błądząca wśród

leśnych zaciszy, ożywia się ona i nabiera duszy dopiero w chwili, gdy poczuje, że jest kochaną. Obowiązkiem jej, prawem i przeznaczeniem poświęcenie: ta, której miłość niezdolna jest do poświęceń, nie kocha prawdziwie."

Czyli innemi wyrazy:

"Muzyka jest niewolnicą i winna słuchać, winna poddawać się ślepo poematowi, który ilustruje. Jedyna jej rola — być wierną tłumaczką. Kompozytor znika chwilami wobec librecisty, narzucającego mu autorskie swe prawa i wymagania."

Wagner, tworząc sam mityczne teksty oper swoich, przestrzegał teorii tej ściśle. Wpływ jego odbił się na całej rzeszy młodszych kompozytorów. W „Pajacach” i „Cavalerii” mamy dramaty muzyczne, tak silnie z tekstem zespolone, tak wiernie i dokładnie tłumaczące stany psychiczne bohaterów, iż chcąc pojąć dokładnie muzykę, z konieczności przestudyować należy wiernie libretto.

Mascagni i Leoncavallo odbiegli od teorii muzyka przyszłości o tyle, iż obrali do oper swoich tematy realne, tętnem życia drgające. Wagner zaś, jak wiadomo, unikał wszelkiej powszechności na scenie. Mit wydawał mu się odpowiednim jako treść opery, dlatego, że usuwając całkowicie konwencyonalną stronę stosunków światowych, wciela w siebie to tylko, co dostępne dla pojęć czysto intelektualnych, ogólnoludzkich, wiecznie zrozumiałych, wciela w formie konkretnej, pochwytniej od pierwszego spojrzenia.

Druga różnica między mistrzem z Bayreuthu a młodymi włoskimi kompozytorami ta, że tamci zilustrowali walki i udręczenia bohaterów swoich szeregiem melodyj, których tło, nastrój, układ i harmonizacja przypominają wprowadzie Wagnera, które jednak, dzięki wyrazistości swej, skoncentrowaniu, sile i wykończeniu, nie dają podsunąć się pod ogólne teorie twórcy „Parsifala.” Oto, co mówi on sam w danym razie:

„Melodya winna wywoływać nastrój duszy, podobny do tego, jaki budzi piękny las o zachodzie słońca w samotniku, znużonym gwarem miasta. Słuch takiego człowieka, nabierając stopniowo coraz większej przenikliwości, rozróżnia coraz dokładniej nieskończone różne szmery leśne. Zdaje mu się, iż słyszy nawet takie, których nie chwycił dawniej nigdy. Wielka, jednolita melodya leśna budzi w nim wrażenie pobożnego skupienia, pozostawiając wiekuisty odgłos po sobie. Powtórzyć ją jednak niepodobieństwo, trzeba wrócić do lasu o zachodzie słońca, by usłyszeć ją na nowo. Szaleństwem byłoby z jego strony, gdyby chciał schwycić pierwszego lepszego ptaka leśnego, przynieść go do siebie i nauczyć się od niego jakiegokolwiek zwrotki z tej ogólnej wielkiej melodyi leśnej! Co usłyszałby wówczas? Włoską śpiewkę co najwyższej.”

Złośliwi twierdzą, iż brak pomysłowości jedynie wpłynął na powstanie powyższych teorii mistrza, tak samo jak nieumiejętność zestawienia głosów zbiorowych spowodowała nieskończone sola jego oper.

Do jakiegokolwiek obozu przystąpimy: fanatyków-wrogów, czy też fanatyków-przyjaciół Wagnera, przyznać musimy, iż twórczość jego była konieczną reakcją przeciw mdłemu liryzmowi pierwszej połowy naszego wieku. Śmiało, nieoczekiwane zwroty frazesów muzycznych, dysonanse i modulacje, nieoparte na prawach dotychczasowej toniki, stały się głównymi cechami pa-

nującego obecnie tak wszechwładnie dramatu w operze.

Dziwaczny charakter kompozytora, energiczna, niepowściągliwa działalność jego i skłonność do namiętnej polemiki jednały mu przyjaciół lub wrogów między ludźmi, częstokroć nie z muzyką wspólnego nie mającymi. Właściwy wpływ panteistycznej jego muzyki okazuje się teraz dopiero, gdy do ubóstwiania jej nie zagrzewa ogniste pióro samego mistrza, a gdy pomimo to żywiołowym nastrojem twórczości jego rozbrzmiewają dzieła wszystkich współczesnych kompozytorów. Znajdujemy w nich zwykle to falowanie i kołysanie się dźwięków, tę szeroką, nieokreśloną, jednolitą w ruchu i kolorystyce melodyę, przypominającą, jak chciał tego mistrz, nieskończoność.

Hanslick, niezbyt zresztą przychylnie dla twórcy „Nibelungów” usposobiony, twierdzi, iż łańcuch ewolucji muzycznej łatwiej wyobrazić sobie można bez Mendelssohna a nawet Schumana, aniżeli bez tego dziwaka-psychopaty, przed którym jedni prozelitycznie schylają czoła, którego gradem klątw i złorzeczeń obsypują inni.

Zapowiedziany na rok bieżący cykl przedstawień wagnerowskich w Bayreucie wykaże, czy i o ile liczba przyjaciół mistrza wzrosła. Ci, którzy potępiają go najgorliwiej, ani wiedzą, jak dalece wpływ jego dosięga ich samych. Słowicze arye nudzą dziś już wszystkich. Orkiestrze przyznano berło panowania; tam gdzie ona stanowi mdły akompaniament lirycznych zwrotek jedynie, brak podniety, wstrząsającej nerwy. Słuchacz ziewa, i na przedstawieniu cikliwych „Purytanów,” wzdycha do jaskrawej „Cavalerii” lub tragicznych „Pajaców.”

Cecylia Walewska.

Zmarłe przedwcześnie.

(Dokończenie.)

Przewrót ekonomiczny, dokonywający się u nas od lat kilkunastu, przyłożył się do wytworzenia kilku nowych typów społecznych, które literatura beletrystyczna współczesna, chwytając chciwie, i wprost z życia przenosi na karty książek, lub deski sceniczne. Jednym z takich typów jest dziewczyna młoda, ze sfery średniej inteligencji wiejskiej, rzucająca się w wir walk życiowych, dla ulżenia ciężaru rodzinie, niekiedy wprost dla podtrzymania jej bytu, dla ocalenia zagrożonego kawałka ziemi, lub zapewnienia światła młodszemu rodzeństwu.

Z mniejszą, lub większą dozą talentu malują nam tę postać powieściopisarze i noweliści, w rozmaity sposób płacząc nitki jej losu, najczęściej gwoździ dodania otuchy walczącym, i zabierającym się do walk podobnych, po przez drogi cierniste prowadzą ją ku oazie szczęścia i zadowolenia z osiągniętego na koniec celu. Ale tak czy owak, zwyciężona, czy tryumfująca, zawsze to ta sama bohaterska dziewczynka, mierzająca „siłą na zamiary,” zrywająca się do zadań prawie niewykonalnych, mundurek pensjonarski zamieniająca śmiało na szatę nauczycielki, studentki, artystki, literatki i t. d.

Niech nas nie dziwi, że tak uparcie zwraca się ku niej powieść współczesna. Powstała z baśni, potrzeba żywiołu heroicznego. On warunkiem jej życia. A gdzie szukać go dzisiaj? Na martwej pustyni, pod szarem niebem dni naszych nie rodzi się heroizm. Ot w tej dziewczynce odkryła pierwiastek bohaterski, pochwyciła odważne dziecko, i zdołała mu czoło uplecionym przez siebie wieńcem. Lecz choć tak upodobała ją sobie, choć w swym zwierciadélku czarodziejskiem pokazuje nam nieustannie jej ducha w rozmaite przyodziańskie kształty, nie można powiedzieć, byśmy ją przez to lepiej i bliżej poznali. Wdzięczny ten motyw nie został dotąd wyzyskany należycie. Żadna ze znanych ogólnie powieści typu młodzieżowej bojowniczkowej, nie odtwarza w sposób, z którego pokolenia późniejsze mogłyby powziąć o nim zgodne z prawdą wyobrażenie. Żadna nie wznosi się do tego stopnia artyzmu, na którym wszystkie cechy główne, charakterystyczne odtwarzanego przedmiotu występują wyraźnie, i składając się na obraz pełny, skończony, uderzający silnie myśl i wyobraźnię czytelnika.

Pojedyncze rysy rozproszone są tu i owdzie. Na całość czekać trzeba jeszcze.

Tymczasem rzeczywistość ukazuje nam obrazy daleko bardziej zajmujące, sytuacje o wiele jaskrawsze, epilogi tragiczniejsze, od spotykanych w powieściach, osnutych na powyższym temacie, i ukazuje bardzo często. Bohaterskiej dziewczynki któż z nas nie znał w życiu. O ubogie, zniszczone sukienki jej ocieramy się codziennie na ulicy. Ją to widzimy schyloną nad gromadką dzieci, przypominających jej pozostawione w domu młodsze rodzeństwo. Jej to łkania tłumione szeptem nocami skromny, nauczycielski pokój. Tam, po dniu spędzonym ze sztuczną pogodą i spokojem, z obowiązkowym uśmiechem na twarzy, płacze samotna, płacze łzami tęsknoty, niekiedy bólu, upokorzenia, rozpacz. Jej to dusza wyrwa się do najmilszych, do swoich, może do drzew rodzinnej wioski, może do kogoś, co nawpół dziecinne serce opętał, i pozostał tam gdzieś, daleko. A może i ten ukochany i te pola miłe stracone dla niej na zawsze. Oderwała się od tego wszystkiego, i nie wróci już nigdy. Przed nią tylko praca, obowiązek, walka nad siłą. Może, może... Życie, to powieściopisarz genialny, w pomysłach niewyczerpany.

Nauczycielstwo jest drogą najbardziej uczęszczaną przez młode robotnice, pragnące pracą swą podeprzeć zrujnowane gmachy przeszłości, lub wytworzyć przyjaźniejsze warunki dla powstającego dokoła nich życia. Ale najśmielsze z pośród nich nie puszczają się tym utartym gościńcem. Nauka, sztuka, literatura znajdują w nich adeptki wytrwałe, niezrażające się żadnymi trudnościami, nieustraszone. Czoła ich schylone nad księgami widują noce późne. Z młodzieńczych postaci ich praca myśli, niedostatek wysysają siły, zdrowie, krasę. Ich to twarze pobladłe wychylają się z okien wagonów, unoszących je w świat daleki. I w ich oczach płomień zapalu, gaszą chwilami łzy tęsknoty za wszystkim, czego odbiegły, gnane przeznaczeniem swoim, za wszystkimi, których pożegnały na długo. Kto dojdzie, kto obliczy, ile męczeństwa jest w takich rozstaniach, ile boleści w ostatnim, pożegnaniu uścisku? A jednak idą przed siebie. I dochodzą... niektóre. Inne giną w połowie drogi, z braku sił najczęściej, a czasem (los nie lubi się powtarzać), czasem w pełni sił jeszcze

usuwa je nagle z widowni świata tajemnicza dłoń przeznaczenia.

I wtedy sto pytań ciśnie się nam na usta.

Dlaczego odeszła ta młoda i silna? Dlaczego odeszła w chwili, gdy życie otwierało przed nią swe podwoje, i ludziło mirażami powodzenia, zwycięstwa? Dlaczego odeszła, skoro była miła ludziom i podobna do kwiatu, który jeszcze nie rozwinął wszystkich listków swoich, jeszcze nie zapachniał całą pełnią woni.

I nie tylko żalem, lecz i dreszczem zgrozy przejęci stajemy wobec takiej mogiły. Na pytania nasze nie ma odpowiedzi. Zagadkowe sfinksy życia i śmierci milczą.

Taką zagadką okropną, taką tragedią tajemniczą, była śmierć młodej powieściopisarki Maryi Paprockiej, piszącej pod pseudonimem „Znicz” lub „Płomieńczyk.”

Młoda, pełna zapału, wiary w siły swoje rzuciła się w świat. Za nią, we wspomnieniach szumiał bogaty, sandomierski łąn, widniał obraz schorzałego ojca, rodziny, której pragnęła przyjść z pomocą. I szła odważnie, z podniesioną głową, z pogodą w duszy.

Początkowo pociągnęła ją ku sobie praca nauczycielska. W jakiś czas później przeszła śmiało na pole zapasów literackich. W tym świecie często tak niewyrozumiałym i bezlitośnym dla stawiających pierwsze kroki, spotkało ją przyjęcie życzliwe. „Ateneum,” „Tygodnik Ilustrowany,” „Kurier Codzienny,” drukowały pierwsze jej utwory.

Krytyka przyznawała jej talent, i pierwsza jej książka, powieść p. t. „Fałszywe dźwięki” znalazła niejedną ocenę przychylną. Przyszłość pełna sławy, wziętości, uznania uśmiechała się młodej autorce. Najpogodniejsze horyzonty zdawały się otwierać przed nią. Nie dziw że „Uśmiechem życia” ochrzciła jedną z ostatnich prac swoich. Wyrazy te widniały jeszcze na szpaltach pisma drukującego opowieść o wdzięcznej „Panience z klasztoru,” gdy nad twórczynią jej śmierć wyrzekła już tajemnicze słowo swoje.

Ci, co spędzili z nią chwile ostatnie, opowiadają: śmiech miała na ustach, w myśli plany dalekiej podróży, wycieczek w góry Tatrzańskie, które miały dostarczyć wrażeń do przeznaczonej na konkurs powieści—w duszy radość, wesele.

W kilka godzin później toczyła walkę z chłodną otchłanią wodną, walkę rozpaczliwą, śmiertelną. W nurtach Styru zgasł płomień życia, marzeń o sławie, pragnień szlachetnych, uczuć gorących. Nad tem wszystkim unosi się dziś milczenie śmierci.

H. C.

ZKĄD SIĘ BIORĄ PRZESTĘPCY?

Obrazek z niedawnej przeszłości.

(Ciąg dalszy)

Takimi wykrzyknikami przyjęła gromada odkrycia Grzegorzowej. Zrazu szeptano o tem po cichu, potem coraz głośniejsze, a wreszcie odsunęto się od Góreckich, bo choć nikt sformułować nie umiał, czego chce od nich, ale przy niechęci, jaką zrodziły ciągle stosunki Kajetana z dworem i probostwem, każda pogłoska, potwarz czy

podejrzenie, choćby najniedorzeczniejsze, znajdowały chętne ucho gromady.

W opowiadaniu Grzegorzowej prawdą było tylko to, że faktycznie przyswoił sobie Józiek jastrzębia, i że go ogromnie radowało to, co mu w oczach ludności Poręby tak źle usłużyło. Resztę stworzyła w części złośliwość, w części bujna wyobraźnia starowiny, a łatwowierność i zaboron ludzki przyjęły to z najlepszą wiarą.

Takiem było to chłopie, które kilku rysami pokazaliśmy czytelnikowi

Czy różnił się Józiek tak dalece od całej reszty rówieśników?

Gotowibyśmy powiedzieć, że różnice w składnikach tych organizmów były tylko ilościowe; podścielisko, tło, właściwości ustroju — jedne i te same. Więcej zdolności wrodzonych — więcej rozpędu i śmiałości — oto wszystko.

Powietrza takim płucem — przestrzeni dla takiego rozpędu — promienia światła dla takich samorodnych intuicji.

Przedewszystkiem, jak to słusznie twierdził proboszcz, nie powinien się on być z tymi darami rodzić pod chłopską strzechą, a przytem zaszła teraz niespodziewana, wielka na niekorzyść zmiana w jego losach. Czternastu lat nie miał jeszcze chłopiec, kiedy mu przyszło stracić ojca. Kajetan Górecki umarł nagle, można powiedzieć tragicznie, umarł ku wielkiemu żalowi właściciela i proboszcza Poręby; ale dla dziecka i wdowy jego ta strata nie miała innego znaczenia, jak wogóle u ludu śmierć ojca rodziny. Żył, pracował, było z nim dobrze — zabrakło go, w takim razie inaczej układają się warunki bytu dla wdowy — inaczej dla dziecka. Kobieta wiejska wogóle dużo biada w takich wypadkach, ale się pociesza rychło; z dziećmi bywa bardzo rozmaicie, a jak w tym razie to śmierć ojca wywarła na Jóźku tylko jakiś rodzaj osłupienia bezświadomego, z którego on tylko tyle się domyślał, że coś dla niego skończyło się nieodwołalnie. — Czem było to, co się przerwało raptownie — nie wiedział.

Opieka nad dzieckiem i wdową znalazła się na razie i hojna była nawet bardzo, ale lepiej może byłoby dla nich obojga, żeby w tem przejęciu się mniej było szczodrości, a więcej wytrwania i pamięci. Było to tem potrzebniejsze, że reszta gromady przychylnymi uczuciami dla Góreckich nie odznaczała się wcale, a śmierć tego stosunku nie poprawiła bynajmniej.

Nie upłynęło pół roku od chwili, w której Józiek został sierotą, a pewnego wieczora w rozmowie z właścicielem Poręby odezwał się stary proboszcz:

— Wiesz jegomość, że to bieda będzie z tą Górecką.

— No, no?

— A cóż, tak jak to u nich zawsze. Przyjęła ona niby sobie parobka, no, bo i nie mogła inaczej zrobić; raz że ten chłopiec za mały, a zresztą nie bardzo on się tam i bierze do roboty, ale to wszystko trzeba było inaczej. Ten parobek, człowiek niewiedząco zły; jej się to podobało, że to krewniak niby — że się tak samo nazywa, a mnie się on od pierwszego wejrzenia nie udał. Z podobną patrzy, obieżyświat jakiś, mówca, i wogóle zanadto przedsiębiorczy, a tu w Porębie właśnie zaczynają go słuchać i uważać bardzo.

— To jej się tam powie kiedy, żeby pomyślała o kim innym.

— Ba! czekajże jegomość; powie się, ale to już chyba zapóźno na takie powiedzenie teraz.

— Jakto zapóźno?

— No, rozumie się. Dzisiaj przychodzi do mnie, biada, kołuje, opowiada, że się dobytek marnuje, że chłopiec nijakiego posłuchu nie zna, pyta niby o radę, a tu ona ma na te wszystkie nieszczęścia radę gotową za pazuchą.

— Ale o co jej chodzi?

— Chodzi jej o to, że ona jest sierota, i że jej potrzeba przyjaciela.

— A tym przyjacielem ma być ten Górecki II-gi?

— A jakże.

— No i cóż ja na to poradzę? Mój proboszczu, nie od dzisiaj patrzysz się na lud, znasz jego potrzeby i obyczaje i sam wiesz, że to jest wszystko w porządku rzeczy. Co tu za rada? Przyjdzie czas, dasz im proboszcz ślub i będzie z nimi to co z resztą.

— A ba! Prędko jegomość zrezygnowałeś. A dziecko?

— Cóż dziecko? Krzywdy mu zrobić nie pozwolimy, o ile to od nas zależeć będzie; zresztą dam co będzie trzeba, no i co będzie można. — Dodał z zastrzeżeniem pewnem.

— A jak nie będzie można?

— Oh, za daleko idziemy w przewidywaniach. Tak źle z nami nie jest jeszcze.

— Za pozwoleniem, mówmy spokojnie. Masz jegomość czy nie masz pewnych obowiązków dla dziecka?

— Dajmy na to, że mam.

— No jeżeli masz, to rób co ci sumienie dyktuje, a nie odkładaj, bo tym sposobem marniej ją najlepsze chęci.

Rozstali się chłodniej niż zwykle, a rzeczy poszły sobie biegiem naturalnym.

Nie upłynęło pół roku a chłopiec miał ojczyznę w chacie, ale w tej chacie po kilku już miesiącach zabrakło dla niego miejsca. Oddano Jóźka do służby na drugą wieś, gwoli owego niby posłuchu i tej roboty, której się w domu nauczyć nie chciał. Rozumie się, że dziecku wziętemu z nieograniczonej prawie swobody, nawykniętemu do posłuszeństwa było trudno, że robota była la-dajaka, że się z dniem każdym zniechęcał bardziej i coraz więcej zniechęcał ludzi do siebie.

— Taki to niby gospodarz na całą wieś był ten Górecki z Poręby — mówili ludzie w tamtej wsi, — a dziecko wychował pożał się Boże. Ogląda się lichy wie za czem i ledwie, że ludzką mowę rozumie.

Fakt był, że Józiek oglądał się ciągle, że myślał był gdzieindziej; oglądał się za temi błoniami zielonemi, których mu nie stało, za lasem i rzeką na które nawykł patrzeć od dzieciństwa, a że się jego dola wraz z życiem ojca skończyła, więc coraz częściej myślał o tym ojcu, którego mu brak było, i o tej chacie własnej z której go złe losy wyгнаły.

Razu pewnego w niedzielę po niesporach wyszedł stary proboszcz z Poręby na późną przechadzkę jak to u niego było we zwyczaju, a że mu na myśl przyszedł Józiek sierota, więc obrał sobie drogę do pobliskiej wioski, aby się coś o nim dowiedzieć. Traf zdarzył, że nawet na miejsce trudzić się nie potrzebował.

Nie daleko po za kopcem granicznym zastał chłopca leżącego na ziemi, na wysokim płasko-wzgórzu, porośniętym jałowcem i rzadką karłowatą sośniną.

— A ty co tu robisz? — pytał ksiądz zdziwiony, widząc, że dzieciak jest sam jeden; większe dzieci wogóle unikają samotności. — Co tu robisz? — powtórzył zapytanie, widząc że chłopiec się nie rusza, a oczy ma nieruchomo skierowane w jedną stronę.

— Patrzę i patrzę — była odpowiedź.

— A cóż ty ztąd widzisz?

— A dyś tę gruszę wysoką co za naszą sto-
dołą stoi.

Księdzu zrobiło się smutno, powiedział dziecku kilka słów przychylnych, starał się zostawić mu jakąś otuchę; Józek nie zdawał się rozumieć. Nie spodziewał się widać nic od ludzi, bo miał oczy chmurnie opuszczone ku ziemi i milczał uporczywie.

I znowu przyszło się proboszczowi zetrzeć z ko-
latorem o tego Józka biednego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Nauka i Wykształcenie.

Majstrowie warsztatów szkolnych (Smolna numer 14) przyjmują, poczynając od dnia 4 Listopada r. b. chłop-
ców na naukę rzemiosł. Tamże robić można obstalun-
ki wchodzące w zakres stolarstwa, ślusarstwa, kowal-
stwa, giserstwa i tokarstwa. Zgłaszać się należy z kan-
dydatami do kancelaryi zarządu Smolna numer 11,
a z obstalunkami do warsztatów Niższej szkoły Tech-
nicznej, Smolna numer 14. Zwraca się uwagę rodzi-
ców i opiekunów, którzy radziby nauczyć dziecko rzem-
iosła, że tą tylko jedną drogą dojść można szybko do
celu, oszczędzając kandydatowi paru lat, które marnu-
je zazwyczaj w tak zwanym terminie.

Zdrowie publiczne.

Podług ostatniego wykazu urzędu lekarskiego, spo-
rządzanego na mocy sprawozdań szpitalnych i zawiado-
mień lekarzy praktykujących, zapadło w ostatnim mie-
siącu w Warszawie na choroby zakaźne ogółem 480
osób, z których zmarło 159. Panowały: oспа, szkar-
latyna, błonica i koklusz.

Instytut medycyny eksperymentalnej w Petersburgu,
zawiadamia w „Prawitielstwiennym Wiestniku,” że
sprzedaje wyprodukowaną własnem staraniem surowicę
przeciwbłonicową po rublu 1 flakon. Gdyby apteki na-
sze zaopatrzyły się w ten surrogat, a w dodatku pomy-
ślano o jakimś popularnem dziełku objaśniającem jego
stosowanie, mogłoby to przynieść pewne korzyści oko-
licom, w których czas potrzebny na sprowadzenia leka-
rza w wypadkach gwałtownego dyfterytu, robi często
bardzo tę pomoc już zupełnie zbyteczną.

Dobroczynność.

Towarzystwo przeciwzembracze urządza w Brwinowie
na gruncie w części darowanym, w części nabytym,
kolonię dla starców i kalek nieuleczalnych.

Warszawski dom przytulki dla sierot po robotnikach,
liczy obecnie pensjonarzy stałych 30, oprócz 10, któ-
rych oddano dla nauki rzemiosła po za obręb zakładu.

Literatura i Sztuka.

Ukazały się w druku:

„Odsiecz Wiednia,” poemat Deotymy.

„Zbiorek poezji,” Wandy Krasuskiej.

„Album fotograficzne widoków Warszawy,” wydane
przez zakład Trzcinińskiego.

Rodzina ś. p. Stanisława Moniuszki, jak zapewniają,
zrzekła się prawa własności utworów zmarłego mistrza
na rzecz „Sekcyi Moniuszkowskiej,” istniejącej przy
warszawskim Towarzystwie muzycznym

Praca kobiet.

W poszukiwaniu pracy zawodowej zwracać zaczyna
uwagę kobieta nasza na gałęzie pomocnicze gospodar-
stwa rolnego. W muzeum pszczelnictwa i ogrodnictwa
znajdujemy pokaźną jak na początek ilość kobiet, które
na drodze praktycznej obznajmiają się z produkcją
owoców i warzyw, ogrodnictwem kwiatowem i dekora-
cyjnym, chodowlą pszczół, nie zapominając przytem
i o jedwabnictwie, jako jednym z przypuszczalnych
w przyszłości źródeł krajowej wytwórczości. Szczęśliwa
myśl połączenia w jedno tych trzech odrębnych profes-
syj, pozwala kobiecie usposobić się nie tylko jako po-
siadaczce realności ziemskiej, zdolnej kontrolować
podwładną służbę, ale nadto daje możność pracownicz-
kom zamilowanym zrobienia sobie z tego fachu
specyalności mogącej zapewnić byt niezależny.

Nie dowodzi niczego, żeśmy dotąd nie mieli ko-
biet-ogrodników, i ktoby z tak marnego względu
wychodząc chciał krytykować te usiłowania ko-
biet naszych potrzebujących chleba, temu słuszości
żadnej przyznaćby nie można. Kobieta może być
równie dobrym ogrodnikiem i pszczelarzem jak mę-
czyzna, jest to zresztą zajęcie zgodne z jej ustrojem
fizycznym w zupełności, i niechybnie znaleźć powinna
na tej drodze i byt dostatni i zadowolenia mo-
ralne.

Widać zresztą, że tak rozumieją tę rzecz kobiety,
skoro na 53 kandydatów oddających się praktyce
w Muzeum pszczelnictwa i ogrodnictwa jest 30 ko-
biet, pracujących ochoczo i z zamilowaniem — nie sro-
mających się roboty grubej i ciężkiej, byle zdobyć
sobie wiadomości pożądane.

Życzymy szczerze powodzenia im samym, i tym
wszystkim, które w ich ślady wstąpić zechcą w przy-
szłości.

Sprawy miejskie.

Towarzystwo złożone z kapitalistów miejscowych,
które wzięło sobie jako zadanie eksploatowanie wy-
nalazków i zastosowań w dziedzinie elektryczności,
opracowywa obecnie plan wprowadzenia w Warszawie
tramwajów elektrycznych.

Znana tutejsza firma Herse, nabyła posesyą przy
zbiegu ulic Marszałkowskiej, Erywańskiej i Placu
Zielonym. Po rozebraniu istniejącej obecnie budowli
ma tam być wzniesiony gmach, który pomieści skle-
py, zakłady i magazyny firmy. Będzie to więc coś
w rodzaju wielkich domów konfekcyi damskiej, z któ-
rych słyną stolice Europy, a które z takim mi-
strzostwem opisane są przez Zolę.

Byłoby jednak do życzenia, aby z pod pióra tego,
co w przyszłości podejmie trud opisanie Warszaw-
skich „Au bonheur des dames,” wyszła tutejsza ko-
bieta mniej zdegradowana, niż wychodzi francuzka
u Zoli.

Wystawy.

14 Listopada otwartą będzie w Bagateli wystawa
złocieni (chrysanthemów) w połączeniu z wystawą
płodów ogrodniczych jesiennych, wraz z konkursem
dla chrysanthemów, warzyw i owoców. Wystawa
trwać będzie dni 3.

Na wiosnę roku przyszłego ma Warszawa zapowie-
dzianą wystawę introligatorską. O ile dzisiaj już
wiadomo, obejmie ona działy: maszyn i narzędzi uży-
wanych w introligatorstwie — statystykę dotyczącą
tego fachu — zbiór historyczny dawnych opraw —
wzorowe okazy, poczynając od starych, aż do naj-
nowszych — nadesłane z zagranicy wzory ostatnich
udoskonaleni — introligatorstwo galanteryjne — księ-
gi i utensylia biurowe.

Na wystawie berlińskiej otrzymali zaszczytne od-
znaczenia dwaj rodacy nasi a mianowicie: inżynier
Kosiński za maszynę do osuszania mieszkań i pan
Andrzejewski za studnie własnego pomysłu.

Zmarli.

Eugeniusz Skrodzki w wieku lat 75. Znany czy-
telnikom pism naszych pod pseudonimem Wielisława.
Felix Ehrenfeucht publicysta.

Wskazówki i rady.

Dwa krupniki na inny sposób.

Tyle jest sposobów gotowania krupniku, że jeden
i drugi więcej nie zawadzi. Uprużyć drobnej jęcz-
miennej lub owsianej kaszy z masłem, tak aby ru-
miana była, biorąc na 4 osoby kwaterkę, dolożyć
poszatkowanej włoszczyzny, gdy na pół uprzużona
włożyć masła niech się razem pruży. Kości i odpad-
ki od mięsa ugotować oddzielnie z włoszczyzną i so-
lą. Miękką zupełnie kaszę przezasować tym sma-
kiem i zagotować. W wazie rozbić najmniej dwa
żółtka prawie na pianę, i wtedy gotującą się zupą
mieszając ciągle łyżką w wazie rozbić ubite jajka.
Podać z grzankami w kostkę.

Drugi krupnik postny.

Rozgotować kwaterkę bardzo ładnej, drobnej kaszy
perłowej z włoszczyzną w całości, aby ją można wyrzu-
cić. Włożyć dużą łyżkę masła, z którym się powinna
gotować do rozgotowania, w końcu dopiero posolić.
Gdy zupełnie miękka rozbić można kaszę w garnku,
odlewając rzadki płyn w czasie rozbijania, następnie
dolać i zagotować. W wazie rozbić trzy żółtka z pół
kwaterkiem dobrej, słodkiej śmietanki i pietruszką.
Postawiwszy wazę na blasze, aby była ciepła i wtedy
w rozbite żółtka lać gotującą zupę, mieszając ciągle
łyżką.

Bardzo dobra zupa.

Odp. obywatelkom z okolic Częstochowy. Żądany
przepis znajduje się w 16-tym wydaniu „Jedynych
praktycznych przepisów,” oddział 6, str. 144.

Lucyna Cwierzakiewiczowa.

KSIEGARNIA NAKŁADOWA EMILA SKIWSKIEGO Warszawa, Chmielna Nr 26. POLECA NASTĘPUJĄCE DZIEŁA NOWE

	rs. k.
Ariel St. Uludy, powieść współczesna	1 20
Junosza Klemens. Z pola i z bruku	— 80
— Wnuczek i inne nowele i obrazki	— 80
— Ojciec prokop, kartka ze wspomnień	— 20
Laskowski Kazimierz. Zużyty, kartki z życia	1 —
Gliniński Kazimierz. Kwiaty bez woni, powieść	1 —
Grabowska Zofia. Siła krwi, powieść nagrodzona na konkursie (tłóm, z angielskiego)	— 60
Wilezyński Albert. „Dzieła,” tomów XX, tom	— 60
Fehling Dr. Przeznaczenie kobiety	— 35
Konar Alfred. Pierwsza miłość	1 —
Baudouin J. de Courtenay. Spadkobierca Tarno- grodu, powieść	— 50
Olizewski Wl. Dr. Hygiena mowy	— 30
Flaum M. Dr. med. Wykłady o higienie żywienia	— 60
Zawadzki Józef Dr. O trawieniu, wykład popu- larny, z drzewor.	— 45
— Ważniejsze zdrojowiska	— 35
Pancer Feliks. O budowie i konserwacji dróg bi- tych i zwyczajnych. Kapitana b. W. P., In- spektora i członka zarządu XIII-go okręgu komunikacyi lądowych i wodnych. Prze- rzużane i poprawione przez inżyniera tegoż zarządu Tomasza Przesmyckiego, z licz. il. 3 —	

Do nabycia u Wydawcy i we wszystkich księgarniach.
Nadsyłający żądania wprost do nakładcy, kosztów
przesyłki nie ponoszą. Żądania załatwiają się za za-
liczeniem pocztowem.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek
z modami.

TEŚĆ: Gamaston: Wiara... fragment z życia. — Korespondencya z Paryża o ubiorach. — Antoni Miecznik: Owanes Ohana, powieść (ciąg dalszy). — Władysław
Sterling: Sonet. — Kalejdoskop muzyczny (ciąg dalszy). — Zmarle przedwcześnie (ciąg dalszy). — Zkąd się biorą przestępcy? obrazek z niedalekiej przeszłości
(ciąg dalszy). — Kronika. — Wskazówki i rady. — Ogłoszenia. — W DODATKU POWIEŚCIOWYM Andrzej Thauriet: Kwiat Nicei, przekład Bronisławy Kowalskiej (ark 10)

Właściciel firmy w Hotelu Europejskim
LUDWIK BURGHARDT

wyjechał do Paryża po artykuły nowości na nadchodzący Karnawał.

Pracujący w firmie Ludwik Burghardt fryzjer damski
JAN SMOSARSKI

wyjechał do Paryża w celu zwiedzenia pierwszorzędných zakładów fryzjerskich specjalnie damskich i studyowanie nowych coiffur.

NAJWYŻEJ ZATWIERDZONE TOWARZYSTWO AKCYJNE
pod firmą: i

„St.-Petersburskie Laboratorium Chemiczne“

St.-Petersburg, Izmajłowski Prospekt Nr 27, dom własny,
założone w 1860 roku.

nagrodzone złotym medalem na wystawie w Paryżu w 1889 roku.

OCET TOALETOWY,

którego różne kosmetyczne własności uczyniły niezbędnym przedmiotem toaletowym.

Ocet Toaletowy „Violette de Parme.“

Ocet Toaletowy Karbolowy.

Ocet Toaletowy de la Noblesse.

Wyroby „St.-Petersburskiego Laboratorium Chemicznego“ nabywać można we wszystkich znaczniejszych Perfumeryach i składach Aptecznych. Kupujący raczą zwracać uwagę na obok zamieszczoną markę fabryczną i żądać wyraźnej firmy:



„St.-Petersburskie Laboratorium Chemiczne,
posiadającej Skład Hurtowy tylko
u p. PAWŁA WOLLENBERGA

w Warszawie, przy ulicy Żabiej Nr 3, (od Przechodniej Nr 4).
a nie zaś — sklep detaliczny.

Handlującym wysyła się cenniki bezpłatnie.

N° 4711

**MYDŁO
DZIECIENNE**

N° 4711

(PRZESYCONO TŁUSZCZEM mydło tymolowe przygotowane podług przepisu d-ra med. Eichhoffa, naczelnego lekarza oddziału chorób skórnych w szpitalu miejskim Elberfeldzie). Nadzwyczaj delikatne **MYDŁO TOALETOWE** i z tego powodu zalecane do codziennego użytku jako dające się zastosować do każdej skóry a specjalnie do delikatnej damskiej i dziecinnej.

Fabrykacja tego mydła odbywa się pod stałym nadzorem farmaceutów. Mydło dziecinne sprzedaje się przeważnie w aptekach i składach aptecznych. Przy kup-
51635 nie prosimy zwracać uwagi na zatwierdz. fabrycz. markę Nr 4711.

FABRYKA KAPELUSZY DAMSKICH

Magazyn Główny

5. ŻABIA 5.

Największy wybór kapeluszy ubranych damskich oraz dziecinnych od skromnych do najwykwintniejszych, czapecek futrzanych, mu-
fek i kołnierzy. Specjalność fabryki kapelusze felpowe.

Roman Dąbrowski.

MAGAZYN FUTER I KONFEKCYI DAMSKIEJ

JAKUBA PAWEŁEK

ulica Czysta Nr 6.

Ma zaszczyt polecić wielki wybór wszelkiego rodzaju futer krajowych i zagranicznych w najlepszych gatunkach. Przyjmuje obstalunki na wszelkie okrycia damskie, jako to: rotundy, palta, żakiety, peleryny etc., podług najświeższych francuzkich i angielskich mód, oraz futra męskie, palta i marynarki futrzane, płaszcze i t. p., które wykonywa jaknajstaranniej po cenach najprzystępniejszych.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Октября 1896 г.

Warszawa, Druk Emila Skińskiego.

Redaktor i Wydawca Jan Skiński.

DODATEK.

SPECYALNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

Emilii EHRENKREUTZ

Mistrzyni Cechu.

W WARSZAWIE, ZGODA 3, CHMIELNA 24.

Przygotowywa gruntownie i wyzwala na mistrzynię i podmistrzynię. Pensjonat przy szkole oraz pracownia sukien i okryć. Fasony są do nabycia.

WYSMIENITE
1
udelikatniające

MYDŁO TATRZAŃSKIE
WYŁĄCZNA WŁASNOŚĆ
WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO
Z ZAPACHAMI
Fijołka, Konwalii, Buk. Tatra i Róży
Cena kawałka 15 k., najwyższy gatunek 25 k. i 45 k.
523110 Dostać można we wszystkich ważniejszych perfumeryach.

MEDAL ZŁOTY 1896 R.

**MAGAZYN DZIECINNY
Z. ŁASKIEJ,**

dawniej Chmielna 18, obecnie Marszałkowska 101
Największy wybór gotowej konfekcyi dziecinnej. Przyjmują się obstalunki. CENY BARDZO NIZKIE.

**SPECYALNY MAGAZYN
OKRYĆ I FUTER DAMSKICH**

A. Łojewskiej

10. BRACKA 10.

Poleca **NOWE** fasony okryć jesiennych i zimowych, podług modeli paryskich od skromnych do najstrojniejszych. Żakiety od rs. 11, Burki od rs. 15, Peleryny od rs. 6. Rotundy, Paletoty na futrach i wacie. Oprócz gotowych rzeczy wielki wybór materiałów, z których przyjmuje obstalunki.

SPECYALNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

M-me TISSERANT

Mistrzyni Cechu,

W WARSZAWIE, ZŁOTA Nr 31.

Przygotowywa gruntownie i wyzwala na mistrzynię i podmistrzynię. Pensjonat przy szkole oraz pracownia sukien i okryć. Fasony są do nabycia.

Warszawa, ulica DEUGA № 5.



**WINA ZAGRANICZNE,
Koniak „IMPERIAL.”**

Wybór wielki. — Ceny najniższe. 4172024

KSIEGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie,

poleca:

- Po zdrowie, powieść Euterusa rs. 1.20
Bluszc, historia małżeńska, M. Gawa-
lewicza. 1.20
Cudak, powieść M. Gawałowicza. 1.20
Szubrawcy, powieść M. Gawałowicza,
3 tomy. 3.—
Kłeska, powieść K. Glińskiego. 1.—
Tarantula, powieść prawdziwa K. Gliń-
skiego. 1.40
Jak cień, powieść Hajoty. 1.20
Na służbie, powieść Z. Kowerskiej, dwa
tomy. 2.—
Znane dzieje, powieść. Ploteczka. —
Niańta.—Piotr i Paweł, Z. Ko-
werskiej. 1.20
Szary wilk, powieść historyczna A. Kre-
chowickiego. Wydanie II-gie. 1.50
Melancholicey, nowela E. Orzeszkowej,
2 tomy. 2.—
Treść: I. Z pomroku. — Jedna setna. —
Światło w ruinach. — Ogniwa. II. Ascet-
ka. — Wielki. — Bracia.
Kroniki 1875 — 1878 B. Prusa. (Al.
Głowackiego). 2.—
Pierwsze opowiadania B. Prusa
(Al. Głowackiego). Wydanie II-gie. 1.50
Placówka, powieść B. Prusa (Al. Gło-
wackiego). Wyd. IV-te, przejrane. 1.50
Komediantka, powieść Wł. St. Rey-
monta. 1.50
Na wyżynach, powieść M. Rodziwi-
czówny. 1.50
Wojna w czasie pokoju, opowiada-
nie Zofii Urbanowskiej. 1.50.

Lekcyje Tańców tanio!

w domach prywatnych i pensjach.
Aleksandrya 20, Czarnecki. 51435

Zaprawa politurowa w masie na posadzki i podłogi, bezbarwna i w kolorach, fabryki Feliksa Waręskiego, Trómeckie № 13.